

Rocznice Światowej Rady Pokoju (I)

PŁOMIEN WIECZNIE GOREJĄCY

Gdy w latach dwudziestych ub. wieku pojawiły się pierwsze zbiory wierszy Henryka Heinego, a zwłaszcza jego „Księga pieśni”, autora z miesiąca przyrównano do Goethego — największego poety niemieckiego wszystkich czasów. Ale równocześnie otaczało Heinego niezwykle zaciętą nienawiścią, stale zwalczano i oczerniano go. I nic pod tym względem nie zmieniło się do chwili jego śmierci, która nastąpiła 17 lutego 1856 roku.

Nieustannie rosła sława poety sięgając daleko poza granice jego ojczyzny aż do najodleglejszych krajów świata. Jednocześnie rosła bezsilna złość tych, przeciwko którym wymierzona była jego twórczość — złość bezsilna, bo wszelkie sposoby, jakimi usiłowano zmusić Heinego do milczenia, okazały się całkowicie bezskuteczne.

Także po śmierci poety walka ta nie ustała. Zmieniły się tylko metody. Za życia Heinego tropiono go listami gońcyzmi, wydawano nakazy aresztowania, konfiskowano jego dzieła, uchwalano specjalne dekrety Bundestagu itd. Później fałszowano jego utwory, usuwając najstraszniejsze fragmenty: filologów pozostawiając na usługach rekcji usiłowali pomniejszyć jego rolę w historii literatury; nie pozwalano wznosić jego pomników; wymyślano najpodlejsze plotki, byleby oszkalować zmarłego poecie w oczach społeczeństwa.

Ale wszystko to na nic się nie zdało — Heine i po śmierci okazał się silniejszy od swoich wrogów. Jego wiersze natchnęły największych kompozytorów ubiegłego stulecia — Schuberta, Schumanna, Mendelssohna, Wagnera... Lud niemiecki śpiewał jego pieśni, często nie wiedząc nawet kto jest ich autorem. Tłumaczono go na wszystkie języki świata. Cała poezja niemiecka drugiej połowy XIX wieku pozostaje pod wpływem Heinego. I nawet w literaturze ostatnich dziesięcioleci widoczny ten przemożny wpływ — chociażby w prozie satyrycznej Tucholskiewicza, w felietonach Fucholskiego, w poezji Brechta.

Walka z Heinem osiągnęła swój punkt kulminacyjny, gdy hitlerowcy zagarneli władzę w ojczyźnie poety. Nienawidzili go z wielu powodów: był pochodzenia żydowskiego, przyjaźnił się z Karolem Marksem; obnażał i potępiał wszystkie te cechy reakcji niemieckiej, które w czasach Trzeciej Rzeszy spotęgowały się aż do obłędu. Toteż brunatni „kulturträgerzy” postanowili Heinego „zlikwidować”. Wykreślili go z podręczników i programów szkolnych, zaopatrywali jego nazwisko w historiach literatury w najbardziej niewybrzydzone epitety, palili jego dzieła. Pomników poety nie mogli wysadzić w powietrze — bo w calych Niemczech nie było ani jednego jego pomnika. Ale miał inny pomnik, trudniejszy do zniszczenia aniżeli spisz — w świadomości milionów, które umiały jego strofy na pamięć. Hitlerowcy musieli skapitulować — słynna ballada o Lorelei znalazła się w wypisach szkolnych wydawanych w Niemczech hitlerowskich z adnotacją „Dichter unbekannt” — „poeta nieznan”. Było to chyba największe zwycięstwo pośmiertne Henryka Heinego.

Również po wojnie walka wokół autora „Księgi pieśni” nie ucichła. Jeszcze kilka lat temu ukazała się w Niemczech

zachodnich broszura szkalująca poete. Wciąż jeszcze Heine nie daje spokoju tym, których oskarżał i ośmieszał. Choć wiek cały minął od jego śmierci, nie stał się dostojnym i czcigodnym klasykiem. I stało się tak dlatego, że Heine, obdarzony talentem poetyckim na miarę najwyższą, jednocześnie uważał siebie za

je Heine prawdziwe oblicze arystokratów i klechów niemieckich, sztych z filistrów, z ich ograniczenia, tepoty i zacofofania. A wszystko, co ma do powiedzenia, wyraża w sposób jasny, dosadny, posługując się prozą nadzwyczaj celną i gładką.

Gdy tylko zaczął pisać przykre prawdy o współczesności,

wydarzeń w Niemczech i nieustannie ingerował we wszystkie sprawy aktualne. Demaskował prusactwo, ośmieszał królów i księża, głosił hasła rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, przepowiadał nawet obalenie panowania burżuazji przez proletariata. Gdy dotarła do niego wieść o upadku Powstania Listopadowego, wołał z bólem: „Polacy! Krew burzy mi się w żyłach, gdy piszę te słowa, gdy myślę o tym, jak rząd pruski postąpił z tymi najsłabszymi dziećmi nieszczęścia, jak bezczelnie, jak nikczemnie, jak podstępnie”.

Walce polityczne Heinego służyły nie tylko mistrzowskie prace publicystyczne, satyryczne, felietony i rozprawy naukowe — również jego utwory poetyckie coraz bardziej poparte były gorącą współczesnością. Ale podobnie jak jego publicystyka była jednocześnie prozą artystyczną, tak i jego wiersze, ożywione treścią publicystyczną, nie przestawały być najczystsza poezją. W Paryżu powstały m. in. słynne utwory satyryczne Heinego, jak „Atta Troll”, jak napisany w okresie przyjaźni z Marksem poemat „Niemcy, bańki zimowa”. Oto charakterystyczny nastrój tego poematu:

Nową, piękniejszą dzisiaj
Chcę śpiewać wam, przyjaciele,
Z ziemi doczesny stworzyć raj —
Oto co naszym jest celem *)

Temu celowi służyła twórczość Henryka Heinego, liryka i publicysty, satyryka i noweliści, piewcy miłości i bojownika o wolność, marzyciela i rewolucjonisty. Po śmierci poety zniesiono w jego papierach hymn zaczynający się od słów: „Jestem mieczem, jestem płomieniem...”. Twórczość Heinego jest mieczem nadal groźnym dla wszystkich wrogów postępu, jest płomieniem wiecznie gorejącym.

MARCELI RAŃICKI

*) tłum. Antoni Marianowicz



„żołnierza w walce o wyzwolenie ludzkości”.

Pojawił się na widowni literatury w okresie wszechwładnego panowania romantyzmu. Romantycy niemieccy uciekali od współczesności i sławili wyidealizowane średniowiecze. Heine rozprawił się z nimi szybko i na przekór modzie literackiej twierdził, że „poeta mocny jest dopóty, dopóki nie opuszcza gleby rzeczywistości, a opada z sił, gdy tylko zaczyna marzyć i unosić się po błękitnym przestworze”.

W latach dwudziestych twórczość Heinego składa się jakby z dwóch oddzielnych, lecz uzupełniających się nurtów. Jako liryk pozostaje na razie w granicach tematycznych tradycji poezji — opiewa miłość i przyrodę, cierpienia zawiedzionego kochanka i piękno morza. Ale wszystko czego dotyka tego pióra nabiera nowego blasku, tak silnego, iż wiek cały nie zdołał go pokryć patyną. W jeszcze silniejszym stopniu niż Goethe, jego wielki poprzednik w liryce niemieckiej, Heine wprowadza do poezji niezliczone zwroty zaczerpnięte z codziennej mowy ludu i osiąga dzięki temu zdumiewającą naturalność i lekkość języka.

Jednocześnie już w latach dwudziestych rozwija się publicystyka Heinego, nabrzmiała wszystkimi istotnymi problemami jego epoki. Słynne „Reisebilder” stanowią wzór nowoczesnego reportażu. Autor opisuje krajobrazy i budynki, wsie i miasta, ale przede wszystkim interesuje go człowiek. Z niezwykłą pasją, z nierówną ironią pokazu-

stał się natychmiast przedmiotem ataków ze strony tych, których piętnował i ich sługusów — cenzorów. Chcąc ocalić niezależność swego pióra, opuścił w roku 1831 ojczyznę i osiadł we Francji.

Również na wygnaniu pozostał bystrym obserwatorem

Przegląd Wiejskich Zespołów Teatralnych i sprawy oświatowe

Od czasu ogłoszenia Przeglądu Wiejskich Zespołów Teatralnych upłynęły dwa miesiące. Początkowo sędzieli organizacyjnej — brak było rozmachu, później w okresie ostrych mroźów działalność większości zespołów uległa zahamowaniu. Teraz jednak, gdy „Przegląd” objął wszystkie powiaty, a wiadomości o nim dotarły do najdalszych nawet zakątków województwa — zainteresowanie pracą teatralną wyraźnie się ożywiło. Odezwali się nareszcie powiat leski, o którego zespołach brak było wiadomości. Najlepszym zaś dowodem popularności „Przeglądu” w naszym województwie jest dwukrotne zwiększenie ilości zgłoszeń: mamy już 303 zespoły teatralne zgłoszone do największej tegorocznej wiejskiej imprezy kulturalnej.

Większość tych zespołów przeprowadza jeszcze próby, ale w wielu miejscowościach odbyły się już przedstawienia, o czym donosiła prasa i radio. Chcemy teraz zwrócić uwagę na planowanie „siedziwkowej” wymiany przedstawień między poszczególnymi świetlicami wiejskimi. W ten sposób gromada może zobaczyć obok przedstawienia w wykonaniu własnego zespołu świetlicowego — kilka innych przedstawień w formie „gościnnych występów”. Na wyróżnienie zasługuje sierpułtanie opra-

cowany plan takiej wymiany zespołów w powiecie kolbuszowskim: na przykład zespół teatralny z gromady Koszowy zagrą „Moralność pani Dulskiej” w Siedlance, Trzemeszce i Niwielkach, podczas gdy Siedlanka wybierze się do Świerczowa, Przytoku i Trzemeszki z „Zalotami” Kupali.

Jak już pisaliśmy największą popularność zdobyła sztuka Bałtuższka — „Pięta kołudy”. Zgłoszenie tej pozycji przez 34 zespoły świadczy o zainteresowaniu naszych świetlic zagadnieniem walki klasowej na wsi. Drugie miejsce zajmuje komedia Kupali „Zaloty” — 22 zgłoszenia. Jeżeli idzie o autorów polskich, to wybór sztuk klasycznych i współczesnych jest dość szeroki, najwięcej jednak, bo 18 zespołów — zamierza grać Fredrę. W 10 świetlicach przygotowuje się komedję Bałuckiego, 7 zespołów wybrało sztukę Zapolskiej. Ale z wielu ośrodków sygnalizują nam, że do sztuk Mollera i Fredry brak stylowych kostiumów. Widzimy teraz, że przy wyborze repertuaru nie zawsze liczą się z warunkami, z zasadniczymi trudnościami jakie zespołowi amatorkiemu, a zwłaszcza wiejskiemu nastre-

zyć musi sztuka klasyczna, kostiumowa.

Należy także podkreślić charakterystyczne zjawisko: większość zespołów najchętniej sięga po sztuki pełnospektaklowe, a więc trudne do zrealizowania zarówno pod względem artystycznym jak i technicznym. Znacznie mniej uwagi okazuje się u nas jednoaktówkom, co zresztą usprawiedliwia brak odpowiedniego repertuaru w tej dziedzinie. Ale naprawdę szkoda, że spośród 303 zespołów rzeszowskich zaledwie kilka reprezentuje brygadę artystyczną. Czyżby forma ta, tak atrakcyjna i skuteczna, jeśli idzie o wychowawcze oddziaływanie, była dotychczas w naszym województwie niedostatecznie promowana? Zdamy sobie sprawę, że zespoły doświadczone, zaawansowane nie zrezygnują z wystawienia poważnej sztuki na rzecz występów estradowych. Z drugiej strony jednak do małych form teatralnych zachęcamy, nie tylko zespoły początkujące, ale i te, którym warunki techniczne z góry uniemożliwiają ambitne zamiany wystawiania na prymitywnych, pozbawionych jakichkolwiek urządzeń teatralnych scenach — „Balladyny”.

„Niemców”, czy „Intrygi i miłości”.

Jeżeli tak się złożyło, że zespół zabrakł do sztuki z wielkiego repertuaru, to lepiej chyba będzie, gdy zamiast wątpliwej całości obfitującej w niezamierzone efekty humorystyczne, pokaze się wybrane fragmenty, albo jeden akt sztuki poprzedzony odpowiednim wprowadzeniem. Można mieć nadzieję, że zrozumienie podstawowych założeń amatorskiej pracy teatralnej, a także zrozumienie pewnych związków z nią „prawd oczywistych” będzie znacznie powolniejsze niż dotychczas, dzięki intensywnej pracy szkoleniowej, jaką za przykładem wojewódzkiego kolektywu instruktorów artystycznych przy Wojew. Domu Kultury Związków Zawodowych prowadzą obecnie powiatowe kolektywy instruktorów. Kolektywy powiatowe odbywają co miesiąc seminaria szkoleniowe o programie różnorodnym i — co najważniejsze — praktycznym. Omawia się tam sprawy repertuarowe, metodykę prób analitycznych tekstowych i sytuacyjnych, podaje wskazówki z zakresu scenografii i charakterystyki. W pracy tej produkuje Łańcut (instruktorzy Piotr Inglot i Antoni Sobolewski), Kolbuszowa (instruk-

(Dokończenie na str. 2)

Henryk Heine

TENDENCJE

Pieśniarzu Niemiec. Śpiewem swym
Ślaw wolność. Twoja pieśń
Dusze nasze niech zadziwia
I do czynów niech porwya
W Marsylianki rytm.

Nie Wertherowi dzisiaj wtórz.
Co wciąż do Lotty pionie —
To, co każdy dzwoni dziś dzwoni,
Gromko swemu wieść ludowi
Jak miecz, jak ostry nóż.

Nie fletem teraz tkliwym kłaj,
Nastrojem idyllicznym —
Bądź ożywczy twój puzonem.
Kartaczami wał w jej stronę —
Grzmij, wybuchaj, graj.

Grzaj, wybuchaj i grzmij śmiało
Póki umknie kąt ostatni —
Śpiewaj tylko w tej intencji,
Ale czyn, by coraz więcej
Ludzi wiersz Twój rozumiało.

Przełożył
Ludwik Krasucki

MARZENIE

Marzyłem niegdyś o uczuciach wrzających,
O pięknych lokach, mircie i rezedzie,
O wargach słodkich i rozkosznej mowie,
O ciemnej pieśni melodii szarpających.

Wyblakły niby sen marzenia moje pierwsze,
Rozwiał się jak pył te złudne majaczenia,
Zostało tylko to, co lawą płynącej żarnej,
Wlałem w swoje pieśni, w swe podajme wiersze.

Została, smutna pieśń. Trudno, a więc niech
I ona szuka w dal marzeń, co minęły:
Niechaj pozdrowi je, jeżeli spotkać zdoła.
Powietrzny cieniem śię powietrzny dech...

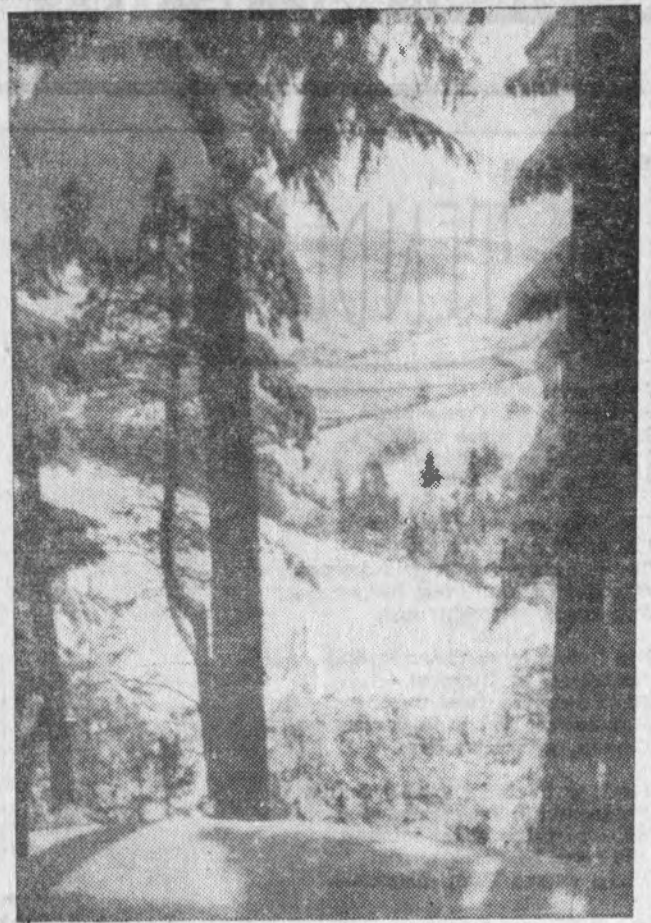
Przełożył
Ludwik Krasucki

„Chodzi dziś nie tylko o równość praw, chodzi także o równość spóżyca na ziemi. W Paryżu jest prawie czterysta tysięcy mocnych pięści, które oczekują sygnału, aby urzeczywistnić te idee...”

(Heine)



„Piękno Ziemi Rzeszowskiej”



MAGÓRA MAŁASTOWSKA (Wysokość 814 m n.p.m.). Widok serpentyn szosy. Foto — Wł. Piątkowski

Notatnik recenzenta

„KRÓL WŁÓCZĘGÓW” W PRZEMYSŁU

PRZEMYSŁ należy do ciekawych miast między innymi dlatego, że można tu oglądać przedstawienia dwu zespołów teatralnych, od lat trwających w szlachetnym sporze, dyskretnie zwałoowanym przed okiem mniej wnikliwego obserwatora. Połączone zespoły „Kolejarza” (który przed paroma miesiącami rozpoczął żywot przygotowaniem sztuki Mikołaja Ostrowskiego „Późna miłość”) oraz zespół Powiatowego Domu Kultury pokazały sztuce o poecie francuskim z XV w. Franciszku Villonie. Postać Villona — poety i opryska, cudownego liryka i sutenera znana i bliska miłośnikom prawdziwej poezji ożywa na naszych oczach.

Nie wiadomo gdzie kończy się tu zasługa J. H. Mac Cartiego i kompozytora Rudolfa Friehla, a zaczyna zasługa polskich adaptorów i to tej klasy co Julian Tuwim i Tadeusz Sygietyński. I jednym i drugim powiodło się zamier ukazania na scenie światła pulsującej bogatym życiem, w którym miejsce zarówno na najczulsze słowa uniesień dla ukochanej Katarzyny jak na wesołe zabawy w zacnej kompanii, popijającej zdrowo w oberży „Pod szyszką”.

Sztuce przygotowano dużo materiału, cały zespół włożył w nią wiele pracy. Kierownik muzyczny A. Czyński, autorka układu tanecznego L. Bilińska, a przede wszystkim reżyserka Janina Górka poświęciła wiele godzin, by całość wypadła jak najkorzystniej, by szarmonizowanie (zestrojenie) gestu i słowa z tań-

cem i śpiewem wypadło jak niesfektownie. Rzetelny trud włożony w opracowanie przedstawił przez twórców i zespół wymaga również rzetelnej i możliwie pełnej oceny.

Janina Górka reżyserka o ustalonej opinii choćby wymieniła „Niemców” czy „Zielonego Gila” Tirso de Moliny, raz jeszcze dowiodła swego wysokiego poziomu reżyserskiego. Reżyserka ta przyzwyczaiła nas, że każde z jej nowych przedstawień przynosi nowe odkrycie talentu aktorackiego. Wystarczy przypomnieć raz jeszcze „Zielonego Gila”, w któ-

wiadanego tekstu, podkreślona dyskretnym gestem, zawsze celowym. To samo można powiedzieć o ariach śpiewanych przez Hugette, zwłaszcza arii z II odsłony.

Również Krystyna Łobodzińska w roli Katarzyny wypadła dobrze: aktorka ładnie śpiewa. Z tej dosyć statycznej roli trudno chyba wydobyć więcej ponadto co widzieliśmy na scenie.

Maria, dama dworu (M. Górecka), Olivier, ochmistrz (F. Majewski) oraz Tobarin (Z. Grochowski) posiadają w swych rolach największy ładunek komediowy. Zwłaszcza gwał ostatni. Obie postacie pomyślane są bardzo dowcipnie, budzą śmiech na widowni. Można się jednak spierać czy wykonanie nie ciąży zbyt mocno w kierunku farsy, podobnie jak oszczupiony nieco na żywioł Tobarin — Z. Grochowski.

Całość widowiska utrzymana w dobrym tempie. Zbyt szybko się jedynie partie Katarzyna — Villon. Sztuka ma 5 odsłon. Do najciekawszych zaliczyć by należało pełne ruchu sceny w oberży „Pod szyszką”, a przede wszystkim utrzymaną w malowniczym uroku odsłoną trzecią. Mniej udana, nieco przekrzyżczana jest odsłona czwarta „na murach Paryża”.

Nadpodziwianie dobrze wypadło operowanie tłumem paryskiego ludu. Znaczący wystrzał na ręce reżyserki, która uniknęła jednostajnego zbliżania w całość masy ludzkiej. Zwłaszcza korowodów taneczny z I odsłony i tańce hiszpańskie są mocnymi filarami przedstawienia. Nie wiadomo dlaczego chórzystki boją się szerokiego otwierania ust przy śpiewie. Niby to drobiazg ale sprawia, że tekst śpiewany nie dociera do widza — słuchacza tak wyraźnie jakby powinien.

I tym razem nie zawiodł instytut reżyserki i pedagogiczny. Debiut pokazany w „Królu włóczęgów” imponuje miarą talentu, ujmuje bezpośredniością i dużą swobodą gestu, barwnością, okraszając to wszystko urokiem osobistym. Franciszek Villon — Jerzego Fidy to osiągnięcie aktorackie godne nie tylko pochwały ale i opieki dalszej pracy. J. Fida zdaje się lepiej czuć w rubasznych scenach z kompaniami i dawnymi kochankami, mniej przekonujący jest w lirycznych scenach z Katarzyną, gdzie nie tylko gra ale i śpiewa. Gest w partiach śpiewanych wymaga dalszego wypracowania — materiał aktoracki przedstawiony na deskach amatorskiego teatru pozwala przypuszczać, że te drobne usterki znikną i całość roli nabierze barw jeszcze soczystszych.

Większą rolę posiada w swym gronie kilka ról przemysłowych i opracowanych zupełnie dobrze. Na czoło zespołu obok postaci tytułowej wybijają się gra M. Piągorowicz-Nogowa, w roli dawnej kochanki Villona — Hugette. Aktorka jest obdarzona rzadko wśród spotykanych dykcją, czystością i precyzją w podaniu każdego słowa sprawia, że słuchasz się ją z wielkim przejęciem (jest to laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego). W grze ujmuje prostotą i bezpośredniością wypo-



rym jedną z głównych ról nie zawahała się powierzyć debiutantom. Eksperyment przeszedł wszelkie oczekiwania, Caramanchei z „Zielonego Gila” w wykonaniu K. Galikowskiego pozostał na dłużej w pamięci widzów.

NA SCENACH TEATRÓW RADZIECKICH

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika „Teatr” krytyk teatralny A. Anikst przeprowadził szczegółową analizę „Intrygi i miłości” wystawionej przez Moskiewski Teatr Dramatyczny w związku ze 150-leciem śmierci wielkiego niemieckiego poety.

Omawiając zalety i wady tego spektaklu recenzent zajmując się przede wszystkim kreacją młodego aktora M. Postnikowa, który odniósł nieoczekiwany sukces w roli Ferdynanda.

„Kiedy Ferdynand znajduje się na scenie — czytamy w artykule radzieckiego krytyka — czujemy, że tu rzeczywistość rozgrywa się bardzo dowcipnie, budzą śmiech na widowni. Można się jednak spierać czy wykonanie nie ciąży zbyt mocno w kierunku farsy, podobnie jak oszczupiony nieco na żywioł Tobarin — Z. Grochowski. Całość widowiska utrzymana w dobrym tempie. Zbyt szybko się jedynie partie Katarzyna — Villon. Sztuka ma 5 odsłon. Do najciekawszych zaliczyć by należało pełne ruchu sceny w oberży „Pod szyszką”, a przede wszystkim utrzymaną w malowniczym uroku odsłoną trzecią. Mniej udana, nieco przekrzyżczana jest odsłona czwarta „na murach Paryża”.

Nadpodziwianie dobrze wypadło operowanie tłumem paryskiego ludu. Znaczący wystrzał na ręce reżyserki, która uniknęła jednostajnego zbliżania w całość masy ludzkiej. Zwłaszcza korowodów taneczny z I odsłony i tańce hiszpańskie są mocnymi filarami przedstawienia. Nie wiadomo dlaczego chórzystki boją się szerokiego otwierania ust przy śpiewie. Niby to drobiazg ale sprawia, że tekst śpiewany nie dociera do widza — słuchacza tak wyraźnie jakby powinien.

W dalszym ciągu swoich rozważań A. Anikst z uznaniem ocenia rolę G. Walewłodowa (Miller) oraz I. Aleksandrowa (Kalb) ma natomiast za złą L. Bogdanowej, że Luisę zubożyła przez akcenty melodramatyczne; „wobec takiej uwagi nie należało czestychy premier w Domu Kultury, który posiada dobre warunki do pracy zespołu teatralnego. Widów nie darzy zespół szczerą sympatią — kredyt u publiczności to rzecz zobowiązująca. Janina Górka przygotowuje miastu nowa niespodzianka teatralna, ale o tym następnym razem.

WIESŁAW GŁOWACZ

Nad dwoma numerami „Życia Kulturalnego”

O CO WŁAŚCIWIE CHODZI?

Już drugi 16-stronicowy numer „Życia Kulturalnego Ziemi Rzeszowskiej” znajduje się w sprzedaży. Kolegium redakcyjne przygotowuje trzy numery pisma. Niejeden czytelnik spotkawszy się z „ŻYCIEM” zadaje sobie pytania, na które dotychczas nie znalazł odpowiedzi na łamach kwartalnika.

— Czy jest to stałe pismo? Jaki cel zakłada sobie komitet redakcyjny? Jaki będzie jego dalszy charakter? itp. Już zatem czas, aby na te i inne pytania w imieniu kolegium redakcyjnego odpowiedzieć.

Po pierwsze warto się zastanowić, czy dwa wydane już numery „ŻYCIA” zaprezentowały odpowiednią pozycję? Niewątpliwie tak. Oba numery spotkały się z pozytywną oceną zarówno w „Życiu Literackim”, „Tygodniku Demokratycznym”, w Polskim Radio jak i również w opinii wielu literatów i działaczy społeczno-kulturalnych. Opinia czytelników również była pozytywna. Świadczy o tym wiele listów z różnych stron województwa, których adresaci domagają się wydania dalszych numerów pisma.

Widzimy zatem, że czasopiśmiśmo społeczno-kulturalne tego typu jest potrzebne. „Nowiny Rzeszowskie” są dziennikiem, a więc mają zupełnie inne zadania i charakter. Jedynie „Nowiny Tygodnia” raz lepiej, raz gorzej spełniają rolę trybuny w rekach człołowego aktywu kulturalnego. Natomiast pisma centralne prawie milczeniem pomijały ciekawy teren Rzeszowszczyzny, o którym nie mówi się „Polska B”, ale jednak traktuje jako dalszą prowincję. Zdarzały się wprawdzie wypadki, kiedy o naszych sprawach pisali ludzie będący przejeżdżając w Rzeszowie, jednak spojrzenie na życie było zwykłe spojrzeniem przez okno pociągu czy kawiarni.

Województwo rzeszowskie jest terenem ciekawych tematów nie tylko dla pisarzy, ale i badaczy naukowych. Bogate tradycje rewolucyjne, szczególnie wsi rzeszowskiej, wymagają pieczołowitego badania i opracowywania. Mało

znane dotąd bogactwo kultury i sztuki ludowej wymaga jakiegoś twórczego upowszechnienia dla szerokiego ogółu społeczeństwa. Z ziemi rzeszowskiej wyszło wielu utalentowanych pisarzy, naukowców i działaczy społecznych. Sporo jest utalentowanych ludzi, którzy mieszkać na wsi, czy w mieście, plażą i chcą pisać o sprawach żywo ich interesujących. Te potrzeby uwzględniła grupa ludzi, która zaczęła wydawać kwartalnik „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej”.

Nie jest to jakieś nowe pismo literackie. Jest to natomiast pismo społeczno-kulturalne, typowo regionalne, poświęcone głównie problemom upowszechniania kultury. Pismo to powinno stać się ośrodkiem skupiającym wokół siebie cały aktyw kulturalno-oświatowy naszego województwa.

Chcemy poprzez to pismo utrzymać stały kontakt z twórcami, którzy pochodzą z naszych terenów a obecnie mieszkają w innych częściach Polski.

Jednak w zasadzie kwartalnik poświęcony będzie celom upowszechniania kultury. Dla tego kolegium redakcyjnemu szczególnie zależy, aby do

„ŻYCIA” pisali artykuly nauczyciele, pracownicy placówek kulturalno-oświatowych oraz działacze społeczni. Bawiem tylko wtedy pismo stanie się naprawdę wartościowe, jeżeli będzie go redagować najszerzy krag pracowników kulturalno-oświatowych i czytelników.

Jednocześnie stawiamy sobie za cel pielegnowanie tradycji kulturalnych, umożliwienie debiutów literackich, publikowanie rzeczowych badań historycznych itp. Chcemy pomóc pamiętnikarzom ludowym w ich twórczej pracy.

Redagowanie pisma rozpoczęliśmy własnymi siłami. Chcemy utrzymać na stałe wysoki poziom kwartalnika. — Nie jest to tylko sprawa kolegium redakcyjnego, ale również wszystkich działaczy oświaty i kultury, którzy powinni pomóc w redagowaniu tego pisma. I o to właśnie chodzi kolegium redakcyjnemu, które przy Wojewódzkim Komitecie Frontu Narodowego redaguje „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej”.

FRANCISZEK GRABOWSKI członek kolegium redakcyjnego „Życia Kulturalnego Ziemi Rzeszowskiej”

Przegląd Wiejskich Zespołów Teatralnych i sprawy oświatowe

(Dokończenie ze str. 1) torzy M. Czartoryski i J. Dziuba), Przeworski (instruktorzy J. Jusza i J. Rogojki) oraz Krośno gdzie zajęciami kieruje przewodniczący sekcji teatralnej Wojewódzkiego Kolegiumu — W. Ładki.

W drugiej połowie marca Wydział Kultury WRN i Wojewódzki Zarząd ZSCH organizują wspólnie seminarium szkoleniowe dla kierowników wszystkich zespołów uczestniczących w „Prze-gładzie”. Celem tego seminarium będzie przekazanie zespołom wiejskim za pośrednictwem ich kierowników właściwych metod pracy reżyserkiej i oświatowej. A właśnie praca oświatowa jest dotąd poważnie zaniedbana. Do rzed-

kich wyjątków należą świetlice, gdzie równoległe do opracowania sztuki zespół teatralny zajmował by się samokształceniem i czytelnictwem. Często się zdarza, że gorliwość, by jak najszybciej dobiec do przedstawienia wybranego utworu — nie towarzyszy chęci zapoznania się z całością twórczością autora, z epoką, w której autor żył i pisał. Nie docenia się także lektury jako najciekawszego przewodnika wśród problemów ze sztuki. Wpytnaj na to w znacznej mierze brak opracowań, o których nie pomyślano specjalnie do tego powołane instytucje z Centralnym Domem Twórczości Ludowej na czele.

Tym większe uznanie należy się skromnej ale niezmiernie

pożytecznej bibliografii opracowanej „na szczeblu wojewódzkim” w Rzeszowie. Jest to po prostu spis lektury uzupełniającej do najważniejszych pozycji repertuarowych „Prze-gładu”. Zespoły świetlicowe znajdują tu zestawienie książek i artykułów z czasopiśmiem, które pomogą im poznać bliżej dzieła Freydy i Czechowa, poznać jak uchwycić istotę konfliktu między kulakami i biedotą wiejską w sztuce Bałtaszasa. Ten poradnik oświatowy zawierający nasze oświatowe wskazówki pracy prof. Marcina Wobowca z Biblioteki Wojewódzkiej. Przydadzą intrygowy terenowej naprawdę godny naśladowania, nawet przez instytucje centralne.

Z TEKI PLASTYKÓW RZESZOWSKICH



Szkice ilustracji do „Potopu” — Sienkiewicz rys. Roman Prokulewicz

Z cyklu: „Historia krajobrazu ziemi rzeszowskiej“

(V)



(CZEŚĆ PIERWSZA)



OTLINE Sandomierska wypełniają utwory akumulacyjne: piaski, żwiru i gliny o miąższości od kilku do 25 m. Również w karpackich dolinach ziemi rzeszowskiej występują osady akumulacyjne, które znajdujemy w wysokości 40, 60 a nawet 80 m nad współczesnym dnem dolin; po nadto tak w Kotlinie Sandomierskiej jak i w brzeźnej cz...

snym zwiększeniu ilości opadów. Na północy w krajach skandynawskich gromadziły się masy śniegu powoli przeobrażające się w lód. Stale narastający lodowiec zaczął powoli rozprzestrzeniać się na obszary położone od niego na południe. Nasuwający się lodowiec niósł w swoim cielsku bloki skalne wyrwane z podłoża, po którym się przesuwiał, szorował nimi o starsze podłoża, rozdrabniał je i wygładzał. Przed sobą spietrzał i pchał luźne osady odkłute z podłoża.

Wody rzeczno - lodowcowe (fluwioglacjalne) powstałe w wyniku topienia się lodowca w czasie lata, rozdrabniały materiał niesiony przez lodowiec, wynosiły go i osadzały przed czołem lodolodu na powierzchni osadów rzek karpackich. Lodowiec posuwający się na dół ku południowi wkraczał powoli na złożone przed jego czołem utwory rzeczne i rzeczno-lodowcowe.

Próg Pogórze wzniesiony w tym czasie około 200 m nad dnem Kotliny stanowił przeszkodę w wędrowce lodowca na południe. W związku z tym nastąpiła stagnacja lodolodu u progu Pogórze Karpackiego.

Ilość zlodowaceń

Stwierdzono, że lodowiec co najmniej trzy razy nasunął się na ziemię polską. Najstarsze zlodowacenie zostało nazwane „zlodowacenie krakowskie”, drugie „środkowo-polskim”, a trzecie najmłodsze „zlodowa-

obszar tundry arktycznej, pokryty ubogą szatą roślinną. Panujący tu klimat charakteryzował się średnią roczną temperaturą - 4 stopnie do 5 stopni C, sucha, mroźną zimą, chłodnym krótkim latem oraz dużymi wahaniami dobowymi temperatur.

Klimat i uboga szata roślinna stwarzały warunki do rozkruszania i rozdrabniania skał. Materiał zwietrzelinowy dostawał się w dna dolin i był z kolei transportowany przez wody roztopowe w czasie lata. Jego akumulacja następowała z chwilą zmniejszenia się siły transportowej rzeki.

Dolina Sanu w okresie zlodowacenia krakowskiego została zasypana do wysokości około 40-60 m nad dzisiejsze dno doliny. W dolinie Wisłoka i Wisłoki osady akumulacyjne sięgają do 50 m. Lokalne wyższe zasypanie obserwujemy przed przełomami (waskami od cinkami dolin), które utrudniały odpływ rzecze, powodując jej spietrzenie, a przez to wyższą akumulację. Np. w Dynowie i w Pświęckomie przed przełomem Polchowskim spotykamy żwiru akumulacji rzecznej na wysokości około 80 do 90 m nad dzisiejszym dnem Sanu. (Należy przypomnieć, że przedlodowcowe dno znajdowało się znacznie wyżej niż obecnie: rozcięcie jego nastąpiło dopiero w okresie późniejszym).

Cofanie się lodolodu

Z końcem glacialu krakowskiego klimat stał się cieplejszy, zmniejszyła się ilość opadów śnieżnych. Lodowiec zaczął topić się u swego czoła i nie zasiliły lodem cofać na północ.

Cofający się lodowiec odsłaniał materiał, który przyniósł w czasie nasuwania się. Materiał ten zwany moreną stanowił niewarstwowane gliny i glazy o różnej wielkości i różnego gatunku. Spotykamy najczęściej granity, porfiry, gnejsy, kwarcyty i diabazy pochodzące ze Skandynawii.

Wody wypływające z topiącego się lodowca akumulowały piaski na nierównym powierzchni morenowej. Następowo utworów akumulacyjnych w Kotlinie, pozostających w związku z nasuwaniem się i cofaniem lodolodu przedstawia rys. 1.

Interglacja mazowiecki

Wędrując dolina Sanu, Solinki, Wisłoka, czy Wisłoki obserwujemy na zboczach dolin spłaszczenia utrzymujące się w podobnej wysokości ponad korytem rzek, oddzielone stromym zboczem od dna dolin, w górę natomiast przechodzące w łagodnie nachylony stok.

W dolinie Sanu wysokość ich powoli wzrasta z biegiem rzeki od 30 m w obszarze górskim do 60 m na Pogórze. Wspomniane spłaszczenia wyraźnie zaznaczają się np. w Rajskim koło Czarnej, w Solinie, Hoczwi, między Leskiem, a Sanokiem. Na poziomie tym rozbudowane jest miasto Sanok, a w dolinie Wisłoki część miasta Krosna.

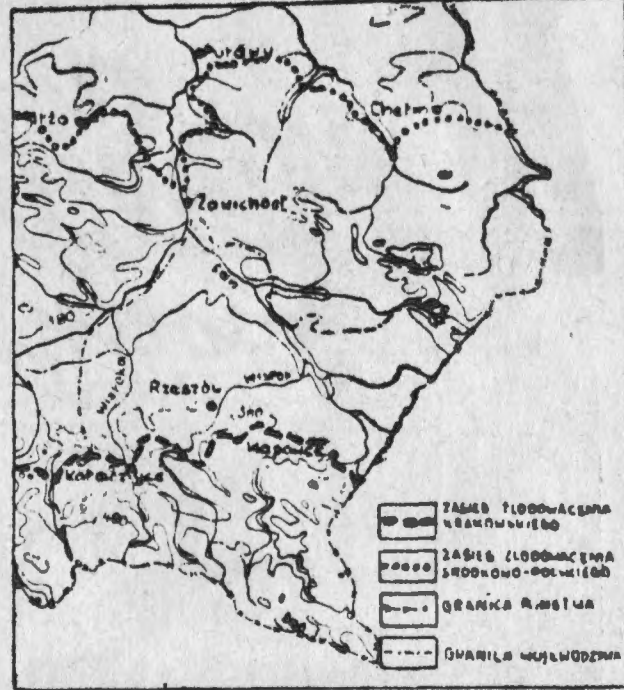
Na powierzchni spłaszczeń spotykamy żwiru rzeczne świadczące o tym, że stanowią one fragmenty jakiegoś starszego dna rzeczno. Miąższość żwirów jest różna - waha się od 0 do 40 m. Spoczywają one na skalnej podstawie o wysokości od 30 do 40 m.

Omawiane spłaszczenia nazywamy terasami, a zależnie od budującego je materiału - terasami skalnymi, lub akumulacyjnymi. W tym wypadku są to terasy skalno-akumulacyjne powstałe w wyniku rozcięcia starszego dna akumulacyjnego wraz z podstawą skalną przez wcinającą się rzeką (rys. 2).

Terasy i załomy w zboczach świadczą o odmłodzeniu rzeźby. W interglacji mazowieckiej zaistniały odpowiednie warunki dla niszczącej działalności wód. Klimat się ocieplił. Lodowiec stanowiący zapora dla rzek cofnął się daleko na północ, a wraz z jego ustąpieniem obniżyła się baza erozyjna rzek. Obniżenie bazy erozyjnej spowodowało zwiększenie się spadku. Rzeki zaczęły płynąć na północ i północny

(Dokończenie na str. 4)

1) Baza erozyjna - poziom do którego rzeka może się wcinąć w podłoże.



Mapka: Zasięg zlodowacenia krakowskiego na obszarze województwa rzeszowskiego.

Paruznamiajmy

ŚWIATOPOGLĄD I ETYKA

Czytelnik podpisujący się „Obserwator z Grodziska” nadał ciekawą list, w którym zadaje takie oto pytanie:

„Czym wytłumaczyć zdarzające się tu i ówdzie wypadki, że nauczyciel wykładający np. przyrodę na zasadach materializmu naukowego - uczestniczy jednocześnie w praktykach religijnych? Jak dalece postępowanie takie jest szkodliwe i czym można taką postawę usprawiedliwić?”

Istotnie są nauczyciele, którzy usiłują pogodzić ze sobą uczestnictwo w praktykach religijnych z wykładami nauki materialistycznej w szkole. Najbardziej typową w naszych konkretnych warunkach przyczyną jest fakt, że religia katolicka jest, u nas przede wszystkim sprawą obyczajową.

Powszechność tradycji obyczajowej jest w licznych środowiskach tak silna, że nawet wszyscy sprawą obyczajową. Istotnie są nauczyciele, którzy usiłują pogodzić ze sobą uczestnictwo w praktykach religijnych z wykładami nauki materialistycznej w szkole.

Taka obyczajowo-tradycyjna niewola najczęściej połączona jest ze swoistego rodzaju naciskiem ze strony rodziny, lub pośrednio wywieranym przez środowisko. Zna się boleśnie nieraz konflikty rodzinne spowodowane właśnie ową nietolerancją religijną.

Uogólniając można powiedzieć, że w ogromnej większości wypadków przyczyną dualizmu w postępowaniu niektórych nauczycieli wynikają z obyczaju, a nie z przekonania.

Nie wszyscy nauczyciele dostrzegają anachroniczny charakter tego obyczaju jak też i fakt, że opinia, z którą się liczą i której nieraz się boją jest opinią wsteczną, zacofaną. Reprezentują ją najczęściej ludzie o nader ciasnych horyzontach myślowych, nie umiający się zdobyć na trud śmiałego myślenia, nie chcący uważać niesłychanego rozwoju nauki i rewolucyjnego postępu technicznego.

Jest rzeczą bezsporną, że naukowego, materialistycznego poglądu na świat, nie da się pogodzić z poglądami idealistycznymi, a zatem i religijnymi. Nie ma dwóch prawd. Prawda jest tylko jedna.

Zagwarantowana w Konstytucji PRL swoboda wyznania umożliwia każdemu obywatelowi znalezienie własnej drogi do prawdy i wyboru przekonania. Jednak łączenie świadomego głoszenia nauk materialistycznych z uczestnictwem w praktykach religijnych, nie jest zgodne z naszymi pojęciami o etyce.

Bez względu na to jakie są tego przyczyny wszelki dualizm w postawie i postępowaniu ludzi, których zadaniem jest wychowywanie młodego pokolenia, nie może być pochwalany. Nieodłączną dwulicowość towarzyszącą takiemu kompromisowi, konieczność zachowywania pozorów i okłamywania samego siebie i innych, nie kształtuje dynamicznie charakteru.

Chociaż niejednokrotnie otwarte stawianie kwestii wymaga dużej siły woli i stanowczości, a nieraz i niemałych wyrzeczeń - jest to jedynie słuszne postępowanie, kiedy pragnie się zachować godność osobistą i szacunek ludzi.

Nie zapominajmy przy tym, że osobisty przykład nauczyciela wywiera obrzydliwy wpływ na kształtowanie się młodych umysłów i charakterów. Mamy więc prawo wymagać, by wychowawcy mogli pod każdym względem, a więc i w osobistym postępowaniu, służyć za wzór młodzieży.

Atle walka o jednolitą i zdecydowaną postawę nauczycielstwa mimo pozorów, nie jest rzeczą ani łatwą ani dającą się ująć w jakichś sztywnych wskazaniach czy formach. Jest to przede wszystkim sprawa rozwinięcia dyskusji wokół tych zagadnień jak najbardziej słusznie nazywanych „drażliwymi”, jest to kwestia jasnego i śmiałego stawiania problemu i konsekwentnego dążenia do rozwiązania wątpliwości z którymi borykają się jeszcze, niektórzy nauczyciele.

Jeśli chcemy wychować zdrowe i wolne od przesądów pokolenie, nie lekajmy się wydać walki wszelkiej dwulicowości, której skutki dają o sobie znać właśnie za pośrednictwem wątpliwości zakradających się tu i ówdzie do młodych umysłów.

Na V Zjeździe Nauczycielstwa jasno mówili o tych sprawach najlepsi nauczyciele i przodujący działacze oświatowi. Nie można wychowywać młodzieży w duchu światopoglądu naukowego nie będąc samemu w pełni przekonanym do tego światopoglądu i nie postępując konsekwentnie zarówno w szkole jak i życiu prywatnym.

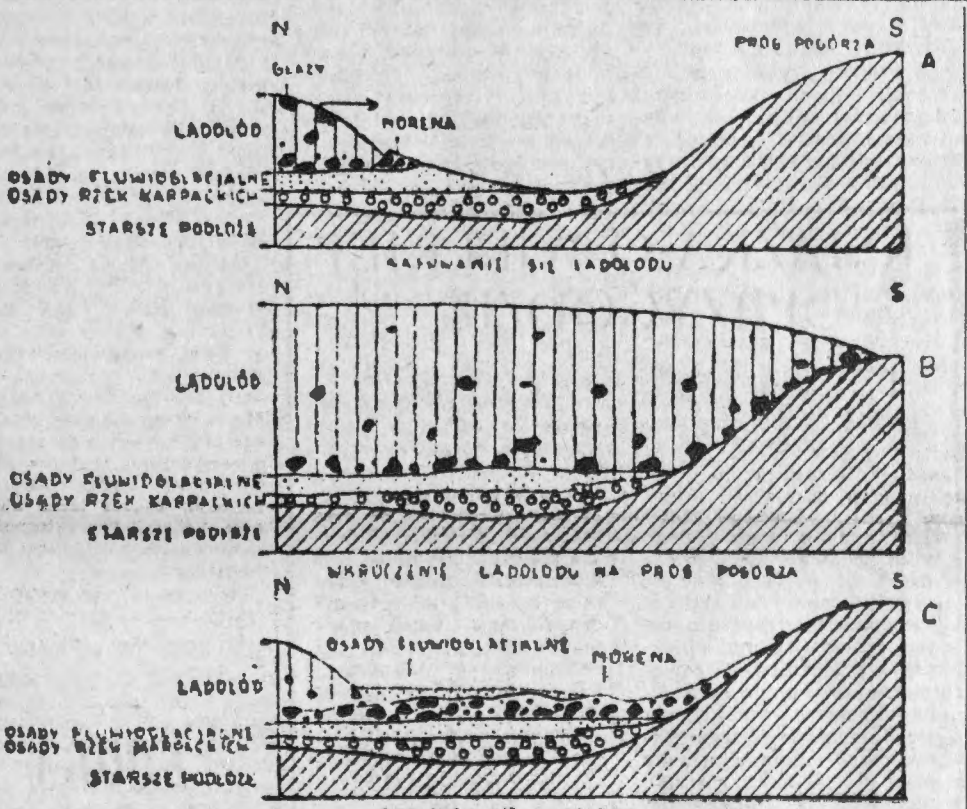
O tej oczywistej prawdzie nie wolno zapominać. Jesteśmy dalecy od superowania jakiegokolwiek gwałtownych i pochopnych wniosków. Nikt nie myśli o tym, by wydawać jakieś zarządzenia, okólniki, czy zakazy. Wyciąganie takich wniosków byłoby całkowicie nieuzasadnione.

Chodzi wyłącznie o to, by w sprawach tych jak najbardziej swobodnie i jak najszerszej wypowiedzieli się sami nauczyciele. Chodzi o cierpliwe i wszechstronne wyjaśnianie, o pełne zrozumienie istoty zagadnienia i znalezienie właściwych metod postępowania.

Chodzi też i o to, by śmiało rozbić jakąś niepisaną znową milcenią, która wytworzyła się wokół spraw światopoglądowych. Nie ma żadnych ważnych powodów do omijania tego tematu, do otwartego przedyskutowania tych spraw i to zarówno z punktu widzenia światopoglądowego jak też i etyki nauczycielskiej.

Sądymy, że w poruszonych przez nas sprawach zabiorą głos sami nauczyciele. Czekamy.

Obserwator



Rys. 1 - Etapy pobytu lodolodu na obszarze Kotliny Sandomierskiej

ści Pogórze Karpackiego spotykamy glazy pochodzące z zniszczenia skał występujących nie w naszym kraju, lecz na odległym Półwyspie Skandynawskim.

Zapewne wielu z nas zastanawiało się kiedy i w jakich warunkach klimatycznych następowało gromadzenie się wspomnianych wyżej osadów, co było przyczyną tak wysokiej akumulacji oraz w jaki sposób przywedrowały na naszą ziemię glazy z dalekiej północy.

Szczegółowe badania wspomnianych pokryw akumulacyjnych oraz form morfologicznych związanych z nimi, pozwoliły uczonym odtworzyć warunki, w jakich powstawały oraz wskazać główne czynniki modelujące w tym nowym okresie geologicznym krajobraz.

centem bałtyckim". Okresy zlodowaceń (glacialy) oddzielały okresy cieplejsze (interglacje), w czasie których lodowiec stagnował na północy.

Zasięgi zlodowaceń

Zlodowacenie krakowskie miało największy zasięg. W czasie tego okresu lodowiec dotarł do Sudetów i do podnóża Karpat. W czasie zlodowacenia środkowo - polskiego lodolód oparł się o Sudety. Wyższe Śląsko - Krakowska, Góry Świętokrzyskie i Wyżynę Lubelska, obniżeniami dolinnymi wkraczając dalej na południe. Ostatnie zlodowacenie bałtyckie miało w porównaniu z poprzednimi najmniej szerzy zasięg. Lodowiec zatrzymał się na linii: Zielona Góra, Leszno, Konin, Płock, Ostrołęka, Augustów.

Zlodowacenie krakowskie Nasuwanie się lodolodu

Nasuwając się lodowiec stanowiący zapora dla płynących z południa na północ rzek. Niesiony materiał płaszczysty,

w czasie której zyskiwał on na miąższości zasiloną starym dopływem lodu z północy. Gdy miąższość lodowca wzrosła ponad wysokość Progu, wkroczył on na brzeźną część Pogórze nie pokrywając już jednakże wzniesień powyżej 420 m n.p.m. Doliny rzeczne stanowią drogi, którymi lodowiec wtargnął głębiej w obszar Pogórze. Dolina Sanu dotarł po Wapowce, dolina Wisłoki po okolice Kołaczyc. Granica jego zasięgu została określona na podstawie występowania głazów narzutowych pochodzących z północy. Na południe od wyznaczonego zasięgu lodowca - głazów takich już nie spotykamy. (Patrz mapka).

W tym czasie znaczną część naszego kraju pokrywała gruba powłoka lodowa, podobna do tej, która dzisiaj występuje na Grenlandii, czy na Antarktydzie. Na południe od czoła lodowca rozciągał się



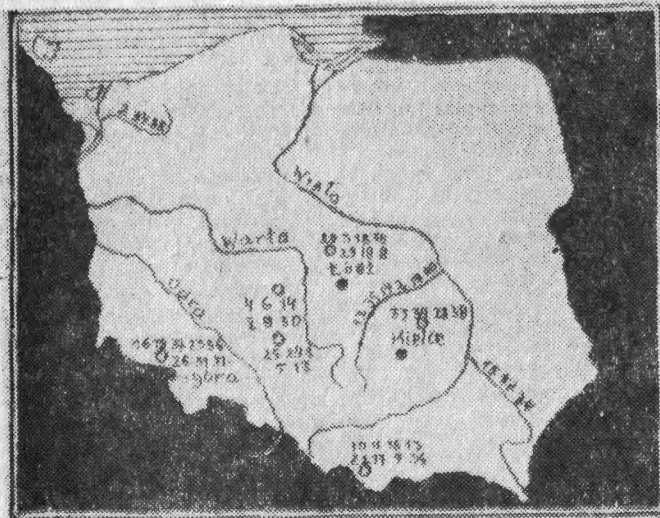
Rys. 2 - Powstanie poziomu 40 m. A - Dolina Sanu w okresie zlodowacenia krakowskiego. B Współczesna dolina Sanu z fragmentami terasy skalno-akumulacyjnej (poziom 40 m)



rys. J. Sienkiewicz

NIE TRUDNO ZGADNAĆ — NIE TRUDNO ZGADNAĆ — NIE TRUDNO ZGADNAĆ —

ARYTMOGRAF



Zastąpić literami liczby, którymi oznaczono na mapce 6 miast i 3 rzeki. Następnie wypisać te litery według kolejności liczb (1—40) i odczytać ja-

ko rozwiązanie fragment jednego z wierszy Wincentego Pola (1817—1872) zawartego w zbiorze pt. „Pieśni Janusza”.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z nr 6 (302)

KOŁO MAGICZNE: Rozwiązaniem jest kilka, wszystkie zaś polegają na wpisaniu parami obok siebie liczb dających w sumie 25.

ZARCIK ARYTMETYCZNY: Ośmiu robotników nie mogło równocześnie kopać studni o średnicy 1 m.

KALAMBUR: „Okolica” (oko — lica).

NAGRODY WYLOSOWALI

I. Józef Łuszczak z Rzeszowa, II. Jan Łęgowski z Glińca Mariampolskiego, III. Jan Tobisz z Przemysła.

Odpowiedzi

działu kulturalnego

Stanisław Bilczak, Rzeszów. — Z nadesłanego wiersza nie skorzystamy.

Henryk Grocholski, Rzeszów — Zarciki nie nadają się do druku Edward Listek, Stalowa Wola — Z nadesłanego wiersza nie skorzystamy.

PREMIERA „KANDYDY” W PAŃSTWOWYM TEATRZE ZIEMI RZESZOWSKIEJ

W sobotę 17 bm. odbyła się na scenie Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej premiera „Kandydy” — Bernarda Shawa. W ten sposób teatr przyłączył się do obchodu stulecia urodzin wybitnego postępowego pisarza angielskiego.

W lipcu tego roku upływa bowiem sto lat od urodzin, a w listopadzie sześć lat od śmierci autora „Profesji pani Warren”, „Pigmaliiona i „Kandydy”, laureata nagrody Nobla, twórcy pełnego humoru i zadziwiającego bogactwem paradoksów dramatu publicystycznego.

Bernard Shaw, którego życie trwało prawie sto lat, był świadkiem i uczestnikiem wielu wydarzeń, wystawił też cenne dla nas świadectwo swej epoki. Choć socjalizm Shawa nie posiadał istotnie marksistowskiej treści, jego twórczość publicystyczna i dramaturgiczna konsekwentnie demaskowała burżualizm i kapitalizm, ze zjadliwą pasją atakując fałsz i obłudę mieszczańskiego życia. Oczywiście, ten demaskatorski charakter w większym stopniu cechuje sztukę Shawa z cyklu „nieprzyjemnych”, takie jak „Szczygli żaulek” — obraz tragicznej sytuacji mieszczańskiej biedoty londyńskiej, czy „Profesja pani Warren” — wstrząsające oskarżenie moralności epoki kapitalizmu. Ale również i „Kandyda” z teatralnego punktu widzenia jedna z najlepszych sztuk Shawa. zawiera wiele akcentów

krytyki społecznej, zlagodzonych może przez poetycki chwilał ton utworu.

„Kandyda” napisana w latach 1894—95 doczekała się realizacji dopiero w roku 1900, kiedy wystawiono ją po raz pierwszy na scenie londyńskiego teatru „Stage Society” Debiut „Kandydy” nie wywołał początkowo zbyt żywego zainteresowania, ale wkrótce sztuka zdobyła wielką popularność za granicą i przyniosła autorowi światową sławę.

Tytuł łączy się z imieniem bohaterki sztuki, żony „socjalisty chrześcijańskiego” pastora Morella, kobiety, która stała przed zagadnieniem wyboru między ufnym w swe sily mężem, a młodym, nieśmiałym i niepraktycznym poetą Marchbanksem. Tradycyjny trójkąt małżeński został przez Shawa podniesiony do wysokiej rangi konfliktu dramatycznego, pogłębiony psychologicznie i nasycony prawdziwie ludzką treścią. I dlatego „Kandyda”, komedia o prostej, ale giętkiej akcji scenicznej, to przede wszystkim sztuka o małżeństwie, o związanym z nim skomplikowanych problemach. Nie brakuje tu jednak tak typowej dla Shawa zasadniczej dyskusji ideologicznej, jaka nie tylko konfrontuje prozę Morella z poezją Marchbanksa, ale dotyczy również sprawy konfliktu między rewolucjonizmem, reprezentowanym przez młodego poetę i fałszywą doktryną reformizmu, której służy działalność społeczna, pastora.

Świetnie skonstruowana komedia stawia przed nami z jednej strony dyskusję ideową, z drugiej strony pytanie: kogo wybierze Kandyda? I zarówno problematyka jak i fabuła tego utworu przykuwa uwagę widza, potrafi utrzymać ją w napięciu. Z wielką plastyką i humorem zostały naszkicowane w „Kandydzie” pozostałe postacie: zabawna sekretarka pastora — Prozerpina, młody wikariusz — Mill; oraz ojciec Kandydy i teść pastora — fabrykant Burgess, kryjący pod maską jówialności spryt i drapieżność żerującego na ludzkiej nędzy wyzyskiwacza.

Wybitne wartości artystyczne „Kandydy” sprawiły, że ma ona na scenach polskich bogatą tradycję. Z naszych teatrów pierwszy wystawił „Kandydę” Teatr Rozmaitości w Warszawie z Marią Przybyłko — Potocką w roli tytułowej. Było to pięćdziesiąt lat temu — w marcu 1906 r. Później znalazła się „Kandyda” w repertuarze wielu teatrów, a popisową rolę żony pastora odtworzały między innymi Stanisława Wysocka, Maria Malicka i Zofia Jaroszevska.

Przedstawienie „Kandydy” w Państwowym Teatrze Ziemi Rzeszowskiej przygotował reżysersko, realizując ciekawą koncepcję inscenizacyjną — Bronisław Kassowski, który dał się już poznać naszej publiczności jako reżyser „Maturzystów” i odtwórca postaci dyrektora szkoły. Obsada sztuki przedstawia się następująco: James Morell — pastor — Bronisław Kassowski, Kandyda — Maria Kassowska, Burgess, ojciec Kandydy — Marian Koc i Jan Barksi, Eugeniusz Marchbanks, poeta — Józef Jachowicz i Tadeusz Sobolewicz, Prozerpina Garnett, sekretarka Morella — Maria Zakrzewska, Aleksander Mill, wikariusz — Włodzimierz Figura. Tekst „Przed portretem” wygłaszać będą Józef Jachowicz i Tadeusz Sobolewicz. Oprawę scenograficzną i kostiumy zaprojektował Zdzisław Koreleski.

Omówienie przedstawienia zamieścimy w jednym z kolejnych numerów „Nowin”.

K. L.

EPOKA LODOWA

(Dokończenie ze str. 3)

wschód zgodnie ze starszym ogólnym nadyleniem w tym kierunku (jedynie nieliczne jak Czarna, Wielopolka i Wisłok na pewnym swym odcinku wykorzystywały zagłębienie Rynny Podkarpackiej). Nie były to już rzeki leniwe meandrujące po wysokiej powierzchni zasypiania, lecz wcinające się w materiał akumulacyjny z zachowaniem swego meandrowego przebiegu. Typowe zakola wycięte w poziomie 40 m obserwujemy w dolinie górnej Sannu, czy Solinki.

Rozcinanie spotęgowane zostało ruchami górotwórczymi wypiętrzającymi obszar Karpat Wschodnich. Rozcięta została pokrywa akumulacyjna wraz z przedlodowcowym dnem skalnym (rys. 2). Rozcinanie to nie sięgnęło do poziomu współczesnych den dolin. Z końcem interglacjalu mazowieckiego dna dolin rzecznych znajdowały się w wysokości 10 do 20 m ponad dnem dzisiejszym.

W Kotlinie Sandomierskiej osady akumulacji rzecznej zostały rozcięte do głębokości około 30 m przy czym rozcięcie nie sięgnęło do dna przedlodowcowego. Świadczy to o tym, że obszar Kotliny nie został objęty wypiętrzającymi ruchami górotwórczymi potęgującymi rozcinanie.

Z końcem interglacjalu klimat ponownie się oziębił. Dalsza historia rozwoju rzeźby ziemi rzeszowskiej w epoce lodowej zostanie omówiona w następnym artykule.

KRYSTYNA KACZMAR

KSIAZKA O WIELKIEJ PRZYGODZIE

TESKNOTA za wielką przygodą — to cecha młodości. Egzotyczne podróże, pokonywanie niebezpieczeństw, przykłady hartu woli i siły ducha, bohaterstwo i nieustraszona odwaga — oto najczęstsze elementy przygodowej literatury. Ci, których stać na przeobrażeniu fantazji w rzeczywistość, wędrują pieszo dookoła świata, obijają kule ziemską rowem, zaciągają się na służbę okrętową, przyłączają się do różnego rodzaju badań naukowych i przygodowych wypraw. Ci, których nie stać na pokonanie pietrzących się trudności, chłoną wielką przygodę na pokazach filmowych i z kart książki. Jedną z takich książek, jest Thor Heyerdahla „WYPRAWA KON-TIKI”.

Czytelnik znajdzie w niej wszystko, co tylko może podniecić ciekawość dalekiego świata i żądze niezwykłych przygód. Więc no wojski klub eksploatatorów, w którym zbierają się podróżnicy i odkrywcy nieznanych jeszcze zakątków kuli ziemskiej, pokonywanie finansowych trudności, jakie ustrój kapitalistyczny stawia nieraz czysto naukowemu zamierzeniu, podróż przez dżunglę pełną dzikiego zwierza i egzotycznych roślin w poszukiwaniu drzew nadających się na budowę tratwy; i wreszcie to najważniejsze — trzymiesięczną podróż po bezmiarach Oceanu Spokojnego, od brzegów Ameryki Południowej na archipeląg wysp Tahiti, na watlej tratwie skleconej z pni drzewnych.

Wyprawa Kon-Tiki — którym to imieniem, jednego z peruwiańskich bożków, ochrzczono tratwę — nie miała na celu jedynie przeżycia zwyczajnej, emocjonującej przygody. Nie była ona też czysto sportowym wyczynem w rodzaju samotnej podróży Allain Gerbault przez Atlantyk. Założeniem jej było udowodnienie, na realnym przykładzie, teorii naukowych o przodostaniu się pierwotnych mieszkańców A-

meryki Południowej na wyspy Pacyfiku. Norweski uczonej Heyerdahl — któremu żadne twarzystwo naukowe nie chce wydać książki wysuwającej te niedorzeczne według wszystkich teorii — pokonuje wszystkie pietrzące się przed nim trudności, doprowadza zamiar do skutku i potwierdza faktami swoje przypuszczenie. Podobnie jak on, mieszkańcy dzisiejszego Peru mogli docierać do wysp archipelagu przez pułstynię wodną, pełną reklinów i najdziwniejszych stworzeń morskich.

Wyprawa Kon-Tiki uczy, że aby przeżyć wielką przygodę, niekoniecznie musi się uciekać z domu i bez celu waleśać się po świecie; pokazuje też że można zdobyć pieniądze innymi sposobami, niż to czynią bohaterowie filmu „Przed potopem”; udowadnia wreszcie, że połączenie naukowych celów z wielką przygodą w niczym nie umniejsza jej atrakcyjności ani intensywności niezwykłych przeżyć.

Relację Heyerdahla o jego wyprawie czyta się jednym tchem. Opisy przygod szczęściu śmiałków, pokonujących na kruchej tratwie bezkresy oceanu, dorywają niemierniej od przeżyć bohaterów powieści Juliusza Verne czy sienkiewiczowskich — Stasia i Nell „W pustyni i w puszczy”. Spotkania z nieznanymi, na innych wodach mieszkańcami morskimi Pacyfiku przykuwają uwagę niemierniej silnie od opisów egzotycznych łowów. Trzymiesięczne życie na tratwie, odcieci jej zupełnie od świata, wydaje się niemierniej interesujące i barwne od historii Robinsona na bezludnej wyspie. Wszvstko to sprawia, że „Wyprawa Kon-Tiki” jest książką, którą można polecić każdemu młodemu duchem czytelnikowi.

(acz)

*) Thor Heyerdahl. Wyprawa Kon-Tiki. Przekład z norweskiego Państw. Wyd. „Iskry”. Warszawa 1955, Str. 231. Cena 14.40 zł.